

Z CYKLU: HOBBY KOBIET

## Basieńka

Ledwo laża. Stopy opuchły, upał sierpniowego popołudnia mocno dawał jej się we znaki. Ubrana była tylko w różową sukienkę na ramiączkach, bez bielizny, bo i po co się męczyć w nadmiarze ciuchów. Co chwila wyciągała z foliowej torebki kawałek surowej, pokrojonej marchwi i chrupała zajadle. Wszyscy wyglądają zabawnie gdy szatkują zębami marchew, ale Basieńka była stworzona do chrupania. Miała mocno przerośnięte dwa przednie siekacze, prawie zawsze wystające z niedomykających się ust. Kiedy gryzła marchew przypominała oczywiście królika, nawet z tępo w przód wpatrzonych wodnistych oczu. Szła na pętlę tramwajową Krowodrza Górka, nie chciała nigdzie jechać, chciała dostać się na działki ciągnące się od pętli do drugiego przystanku przy ul. Bratysławskiej. Jakoś zeszło i prawie miesiąc tam nie była. O tej porze roku już wiele owoców dojrzało. W czerwcu chodziła na truskawki i czereśnie, teraz miała nadzieję na gruszki, jabłka, śliwki, może maliny, co będzie to dobrze. Prócz woreczka z marchwią miała nożyce do cięcia metalu. Być może, że od ostatniego razu ktoś załatał siatki w miejscach gdzie wchodziła. Poza tym nie miała nic, nie chciała zbierać na potem, chciała się najęść do syta. W tym skwarze bardzo jej się chciało czegoś mokrego, kwaskowatego, owocowego. Nie myliła się. Na drugiej działce na którą wpełza pod siatką znajdowała się licha jabłonka cała obsypana owocami, na trzeciej znalazła to na co miała największy smak: śliwki. Duże, czerwone z łatwo odchodzącą skórką. Jadła leniwie, rozsiadłszy się pod drzewem z szeroko rozłożonymi spuchniętymi nogami. Brała śliwkę, nadgryzała wierzch swym doskonałym do tego celu „otwieraczem”, potem ścisnęła owoc od dołu i do ust wlatywał złoty miąższ. Pestkami pluła z upodobaniem na lewo i prawo, skórki wyrzucała za siebie. Wstała ociężale, zakręciło jej się w głowie, oparła się o pień, poczekała aż mroczki przejdą i spokojnie ruszyła szukać kolejnych zdobyczy.

Na następną działkę wślizgnęła się przez dziurę. Czula się nie najlepiej ale widok drzewa obsypanego gruszkami tymi wcześniejszymi, bardzo poprawił jej humor. Grusza była już w połowie, obzierana, może przez właściciela, albo przez takich samych grasantów jak ona. Musiała wspinać się na palce i wyciągać mocno ręce żeby dostać owoc. Nie było jak wejść na drzewo, nie miało bocznych gałęzi, żadnego stolka też nie było. Po drugą gruszkę wyciągnęła się do granic możliwości. W momencie największego rozciągnięcia, poczuła, że coś pęka, ciepła kaskada spłynęła po nogach. Instynktownie przytrzymała się chwyconych przed chwilą gałęzi. Z zadowoleniem stwierdziła, że dają bardzo dobre, stabilne oparcie. Wiedziała że teraz będzie ból w krzyżu, oddech coraz krótszy, szybki, musi się mocno natężyć.

Trzymając dalej gałęzie, nabrała powietrza i z całej siły postarała się o pozbycie przeszkody w swobodnym funkcjonowaniu. Dwa chlupnięcia, jedno większe drugie jakby od niechcenia mniejsze i już spokojnie mogła skupić się na oderwaniu od trzymanyh gałęzi drugiego owocu. – Potem się tamtym zajmę, może poczekać – pomyślała. Coś zaszeleściło obok działki, zgrzytnął klucz przekręcany w zamku lichej furtki, skrzyknęły drzwi. Basieńka zamarała z na w pół otwartymi ustami, z niedokończonym kawałem gruszki w środku, wpatrywała się swoimi wodziankami intensywnie w intruza jak wąż w pisklę. – Ty złodziejko francowata, zaraz ci kijem przypierdolę! To pewnie ty mi tu wyzerasz wszystko! – Wrzeszczał starszy mężczyzna. Dokuśtykał do dziewczyny z zamiarem pokazania jej gdzie raki zimują. Jego wzrok padł na coś poniżej. W chwilę później wzywał przez komórkę pogotowie. Wykazał się bardzo szybką reakcją i zimną krwią mimo, że był w podeszłym wieku.

\* \* \*

Leżała zaspana w stercie szmat. Godzina 6.00, 6 grudnia 2006 roku, dziś miała urodziny, dwudzieste szóste. Zimno jak cholera. Naciągnęła śpiwór mocniej na głowę. Coś zaszeleściło obok niej. Wyciągnęła rękę, namacała worek foliowy. Usiadła na barłogu. Niezdarny napis na dołączonej karteczce poinformował ją, że to Święty Mikołaj był tu w nocy. Otworzyła paczkę. Wysypały się na śpiwór małe, czekoladowe mikołajki, różowe majtki i ciepłe skarpety. – Fajny ten Kamylek (nigdy nie mówiła o nim – Kamilek), różowy mój ulubiony, nogi mniej będą marzły. Ale się grzebie z tym śniadaniem. Nie pomyślała, że Kamilek może też byłby szczęśliwy gdyby do niego również wstąpił Mikołaj. Zastanawianie się nad uczuciami i odczuciami innych ludzi nie leżało w strefie jej zainteresowań. Wygrzebała się z bardacha, kompletnie ubrana co miało dwie zalety: ubranie było już ciepłe, nie trzeba się było ubierać. Naciągnęła na stopy prezent Mikołajowy, klapki i podeszła do okna, spokojnie przeżuując czekoladowego Mikołajka. Usłyszała przyjazd windy na dziesiąte piętro, potem pospieszne kroki po schodach na jedenaste piętro i w drzwiach pojawił się Kamilek. Dwudziestoparolatek, chudy przeraźliwie z zezem rozbieżnym, kasztanowatymi półdługimi strąkami, bladą bladością sera twarzą i niemożliwym do opisanego trądzikiem. W jego obliczu ciekawym akcentem nie pasującym do reszty były usta. Wielkie, niemal murzyńskie, karminowe, niestety kryły dwa rzędy użębienia na którym zarobiłby sporo i ortodonta i dentysta. Najwiśdoczniej dawcom genów dla tego młodzika nigdy nie zależało jak będzie wyglądał ich potomek i co można w nim poprawić. Niósł ostrożnie parującą patelnię, pod lewą pachą worek z krojonym chlebem, pod prawą półtora litrowy ruski termos. – Księżniczko! Śniadanko! Jajcownica na sześciu jajach. – Basieńka przyciągnęła bliżej okna duże kartonowe pu-

dło, po odkurzaczu, pod pupę podstawiła odwrócone plastikowe wiadro bez uchwytu, wyjęła łyżkę z pudełka po butach i zabrała się ochoczo za jedzenie. – Kamylek daj no mi chleba, muszę se przepchać te jajca i nalej no herbaty z termosą. – Jezusie, zjadłś wszystko? A ja to co? – To se zrób nowej, jeść mi się chciało no, albo chleba se pojedz. No, ja to się bardzo dobrze czuję. – Ale już nie ma jajek – Kamilek patrzył na siedzącą okraciem na pudle dziewczynę przestraszonymi i smutnymi piwnymi oczyma. Był głodny. Na pewno głodniejszy niż ona. Na początku z radością oddawał jej część swojej porcji, cieszył się, że apetyt jej rośnie, że kwitnie przy nim. Czuł się taki dumny, opiekuńczy, potrafił się wywiązać. Wyszukał dla nich lokum. Wprawdzie tymczasowe, ale na zimę całkiem dobre, przy odrobinię szczęścia nikt ich stąd nie wyrzuci. Na górze dziesięciopiętrowego mrówkowca przy Opolskiej, był korytarz do ewakuacji w razie pożaru górą lub do przechodzenia między klatkami gdyby któraś winda się zepsuła. Kiedyś korytarz ciągnął się przez cały blok, przez wszystkie szesnaście klatek. Jednak z powodu szwendania się niepowołanych osób poprzedzielali go. Krótkie nowe korytarze obejmowały trzy klatki. Klucz do drzwi tych na górze i dole był jednokowy. Według Kamilka teraz było tu przytulniej. Blok był ocieplony, szczelny więc na zimno też nie mogli narzekać. Kuchnię zrobił na dole w piwnicy. Była tam wózkownia, której nikt nie używał, bo wszystko ginęło. Był tam też zlew z zimną wodą. Załatwił od brata butlę gazową z dwoma palnikami. O lodówkę nie musiał się martwić. Wystarczyło wyrzucić za okno na dach worek foliowy z prowiantem, wszystko przywiązać na sznurku a jego koniec zawiązać wewnątrz do kabła. Przy minus dwudziestu każde mięso mogło leżeć. Największy problem stanowiły gawrony, które szybko się wyuczyły jak rozerwać worek i rozdziobać zawartość. Jako ubikacja służyło im wiadro nakrywane pokrywą. Wylewał zawartość na dach przez okno na końcu korytarza. Dach był płaski więc nic nikomu nie ciekło a mróz też robił swoje. Myć się chodzili cichuteńko na dół do wózkowni w piwnicy. Jedynym kłopotem byli mieszkańcy. Staraf się zmieniać klatki kiedy wchodził, żeby zminimalizować ryzyko nakrycia przez jakiegoś dociekliwego lokatora. Klucze po prostu znalazł jesienią koło jednej z klatek. Na szczęście mimo domofonu na kod i samoistnym otwieraniu drzwi wejściowych po jego naciśnięciu, ktoś kto je zgubił miał drugi klucz do bramy wejściowej. Nikt też nie zmienił wszystkich kluczy do trzech klatek z powodu gapy która zgubiła swoje. Sprawdził pewnej nocy od którego mieszkania są klucze. W klatce 23 na trzecim piętrze mieszkała starsza pani. Widać nie zmieniła zamków, i pewnie miała jakieś zapasowe u kogoś. Nie wiedział jesczcie do czego wykorzysta fakt możliwości wejścia do czyjegoś mieszkania. Baśce nic o tym nie powiedział a ona nie pytała skąd ma klucze do wejścia.

Pewnego marcowego popołudnia, Kamilek